

## „Tak się kończy miłość międzynarodowa...”

Janusz Piorunowski, pracownik pruszkowskiej fabryki ołówków, w sierpniu 1950 roku spędzał urlop na wczasach w domu wypoczynkowym „Leśny Zamek” w Bierutowicach (dziś Karpacz Górny). 24 sierpnia wybrał się na wycieczkę na Śnieżkę. W placówce Wojsk Ochrony Pogranicza – zgodnie z obowiązującymi przepisami – zostawił swoje dokumenty, które miał odebrać w drodze powrotnej...

W apogeum polskiego stalinizmu propagandowy obraz stosunków Polski z pozostałymi państwami socjalistycznymi (poza ówczesnym „wrogiem wewnętrznym” całego bloku, czyli Jugosławią) był wręcz idylliczny. Frazesy o przyjaźni łączącej „bratnie narody” powtarzano niemal do znudzenia. Niestety, uczucia te niezwykle trudno było okazywać, gdyż Polska została w tym czasie szczelnie „zamknięta” (by użyć trafnego sformułowania zaproponowanego przez Dariusza Stołę), skutecznie odizolowana od reszty świata. A jak się z kimś przyjaźnić, gdy nie można nawet z nim porozmawiać?

Ów absurd doskonale ilustruje przypadek Janusza Piorunowskiego, mieszkańca Pruszkowa, u progu realizacji planu sześcioletniego pracownika tamtejszej fabryki ołówków. W sierpniu 1950 r. udał się on na dwutygodniowe wczasy do Bierutowic (dziś Karpacz Górny). Tam zamieszkał w domu wypoczynkowym „Leśny Zamek”. 24 sierpnia wybrał się na wycieczkę na Śnieżkę. Chociaż była to najpopularniejsza forma spędzania wolnego czasu przez wczasowiczów z Karpacza i Bierutowic, to wyjście na najwyższy szczyt Karkonoszy nie było wówczas łatwe. I nie chodzi bynajmniej o strome podejście, które należało pokonać. Śnieżka, przez którą przebiegała granica

polsko-czechosłowacka, znajdowała się w obrębie strefy nadgranicznej, do której wstęp był ściśle reglamentowany. Pan Piorunowski, udając się na wycieczkę, musiał pozostawić w placówce Wojsk Ochrony Pogranicza dokumenty; w zamian otrzymał specjalną blaszkę. Zobowiązany był okazywać ją na każde wezwanie wopistów, a przed zmierzchem zdać i odebrać dokumenty. Wszystko wskazuje na to, że taki miał właśnie zamiar. Niestety...

Na szczycie Śnieżki Piorunowski wdał się w rozmowę z pewną Czeszką. Prawdopodobnie nie była to przypadkowo napotkana osoba, oboje bowiem znali się i prowadzili wcześniej korespondencję. Nie powinno to jednak mieć większego znaczenia ani – tym bardziej – budzić niczych podejrzeń wobec faktu, że nasz bohater podczas tej rozmowy nie przekroczył granicy państwowej. Mimo to podszedł do niego wopista i zażądał okazania „blaszki”, co też pruszkowianin uczynił. Wtedy miał usłyszeć: „tak się kończy miłość międzynarodowa”. I został aresztowany. Osadzony w więzieniu w Jeleniej Górze, a następnie przewieziony do Wrocławia, za kratami spędził łącznie cztery tygodnie i było to dla niego – jak sam przyznawał – bardzo przykre doświadczenie.

Nie był to przypadek odosobniony. Przebywający mniej więcej w tym samym czasie



w Karkonoszach wybitny matematyk Hugo Steinhaus zanotował w swoim dzienniku, że „jeżeli ktoś rozmawia z turystami czeskimi (którzy swobodnie przechodzą na naszą stronę), to go strażnicy indagują, o czym rozmawiał, lub aresztują”. Referenci kulturalno-oświatowi, odpowiedzialni za organizowanie czasu wczasowiczom spędzającym urlopy w domach wypoczynkowych Funduszu Wczasów Pracowniczych, przestrzegali zaś przed wyruszeniem turystów na wycieczkę, by pod żadnym pozorem nie wdawali się w rozmowy z napotykanymi na szlaku Czechami, jedynie – co najwyżej – odpowiadali na „dzień dobry”.

Przykra historia Janusza Piorunowskiego została zanotowana przez jego towarzysza z turnusu, profesora Politechniki Gdańskiej Stanisława Kaniewskiego. Był on członkiem Towarzystwa

Przyjaźni Polsko-Czechosłowackiej i do zarządu głównego tej organizacji skierował swój pełen oburzenia list, w którym opisał perypetie nieszczęsnego pruszkowianina. „Jeżeli wszyscy obywatele czechosłowaccy – pisał dalej – (bo nie chodzi przecież tu o wyraźnych przestępców, przemytników itp.) są traktowani jako pewien element, z którym obywatel polski nie powinien nawet rozmawiać, to powstaje naturalne pytanie, jaki sens ma istnienie Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Czechosłowackiej. Na to pytanie może odpowiedzieć sobie każdy poszczególny członek Towarzystwa Przyjaźni [Polsko-Czechosłowackiej], rozumując, że lepiej jednak nie zadawać się z obywatelami obcego państwa, którzy co najmniej w oczach naszych władz wojskowych są elementem niepewnym, a może nawet wrogiem”. Pytanie o zasadność istnienia Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Czechosłowackiej w sytuacji całkowitego niemal ograniczenia nieformalnych kontaktów pomiędzy obywatelami obydwu państw było jak najbardziej zasadne. Nic więc dziwnego, że towarzystwo przestało istnieć w 1951 r.

Cytowany list dotarł zaś aż do Komitetu Centralnego PZPR. Interwencja ta nie doprowadziła, rzecz jasna, do liberalizacji nieżyciowych i drakońskich przepisów granicznych, a wielce prawdopodobne, że ściągnęła nieprzyjemności zarówno na jego autora, jak i bohatera opisaną tam historii. Większą swobodę wzajemnych kontaktów pomiędzy obywatelami Polski i Czechosłowacji przyniosła dopiero „odwilż”. W 1955 r. doszło do podpisania polsko-czechosłowackiej konwencji turystycznej, na mocy której obywatele obu państw mogli przekraczać dzielącą je granicę w Tatrach, poruszając się jednak w obrębie ściśle wyznaczonego obszaru. W 1961 r. zapisy konwencji zostały rozszerzone o Karkonosze, potem zaś o inne obszary sudeckie. Na karkonoskim grzbiecie powstał wówczas nawet specjalny turystyczny „Szlak przyjaźni polsko-czechosłowackiej”. Na nim to w latach 70. doszło do pierwszych spotkań pomiędzy działaczami opozycji demokratycznej z Polski i Czechosłowacji. I tak zaczęła rodzić się prawdziwa i szczerza, a nie zadekretowana przez partyjnych decydentów i sztucznie podtrzymywana przez propagandę, przyjaźń.